

JUŻ TYŁE SIĘ NAGRAŁEM

Rozmowa z Danielem Olbrychskim.

„PRZEGLĄD TYGODNIOWY”: — Istniał pan kiedyś w świadomości przeciętnego człowieka jako uosobienie bohatera narodowego. Złożyły się na to role w filmach Wajdy i Hoffmana, według prozy Sienkiewicza, także role zagrane w Teatrze Narodowym, w wielkiej literaturze. Dzisiaj ten blask narodowego bohatera opadł z pana postaci. A może coś z niego pozostało?

DANIEL OLBRYCHSKI: — Przyznam, że nigdy nie miałem poczucia, że uczestniczę w jakiegokolwiek mitologii, a w okresie, kiedy grałem te wielkie role, sprawiali mi one ogromną przyjemność, bo były wspaniałe napisane przez Słowackiego, Fredrę w teatrze, czy w filmie — przez Sienkiewicza, Reymonta. Czy więc pani, że jesteśmy właśnie w domu, w którym umarł Reymont? (przy ulicy Górnośląskiej 16). Przyznać muszę, że właściwie nigdy potem na mnie, już jako na aktora dojrzałego, nie spadła odpowiedzialność grania ról tak wielkich i odpowiednio ważnych. Ale, być może, jest to sprawa starzenia się, gdyż role legendy, role bohaterów romantycznych, które młode pokolenia chętnie identyfikują ze sobą, grywają zawsze młodzi aktorzy.

Teraz gram przede wszystkim znacznie rzadziej i staram się przyjmować tylko te role, które mi się podobają, ale chyba już przeszedłem trochę do kategorii rodziców bohaterów. Takie role nie kojarzą się romantycznie, chyba że ma się szczęście zagrać postać tego typu co Grek Zorba. Ja ciągle czekam na taką rolę. Jestem w tej chwili aktorem, który gra różne role, lepsze, gorsze. Normalnie.

— W Polsce gra pan jednak bardzo niewiele. Makbet, znakomita rola w spektaklu Krzysztofa Nazara w teatrze telewizji, była ostatnią, jaką mieliśmy okazję oglądać. Natomiast nie pojawia się pan w teatrze ani w polskich filmach.

— Gdybym mieszkał wyłącznie w Polsce i otrzymywał propozycje tylko stąd, prawdopodobnie przyjmowałbym bardzo dużo ról, żeby po prostu się utrzymać, na pewno nie będąc ze wszystkich zadowolony. Teraz staram się wybierać tylko to, co mnie interesuje, a w ramach tego wyboru mam także propozycje polskie. Mogłbym wymienić szereg filmów, w których odmówiłem udziału, ale nie zrobię tego z zawodowych względów. Natomiast, jeśli ktoś mi proponuje rolę taką jak Makbet, to nawet jeśli jestem już zaangażowany gdzieś za granicą, gdzie są i duże pieniądze i blask sławy, to nie waham się zagrać. I tak będzie dalej, jeśli propozycje będą naprawdę interesujące. Chociaż właściwie ja już tyle się nagrałem, że coraz trudniej mnie na coś namówić.

— Jak to się właściwie stało, że cała Europa jest dla pana? Bo wielu aktorów występuje tylko w środowiskach polonijnych lub gra „do kotleta”.

— Tu muszę zaprotestować. Nie wrzu-

— Tak, bo naprawdę tylko Wajda wyłansował w świat aktorów. Ci, którzy cokolwiek znaczą za granicą, to właśnie z jego poddmuchu i z jego błogosławieństwa. Zagrałem bardzo ważne role u Wajdy, właściwie u progu mojego aktorskiego życia. Nie miałem jeszcze 25 lat i już byłem dzięki niemu aktorem znanym w środowisku filmowym Europy. Ale te szanse nie od razu potrafiłem i mogłem wykorzystać. Rozmaite propozycje zagraniczne ginęły gdzieś w archiwach Filmu Polskiego. Prawdziwą trampoliną, od której się odbiłem był 13 grudnia generała Jaruzelskiego. Wyjechałem parę dni wcześniej, by nakręcić we Francji film i chciałem zaraz wracać. Ale kiedy okazało się, że nie mam po co wracać, postanowiłem, że zamiast recytować po kościołach, spróbuję wykorzystać tę inną możliwość, by przekonać się, czy umiem na tyle wykonywać ten zawód, aby już bez legendy i charyzmy Wajdy spodobać się europejskiej publiczności, producentom, reżyserom. Pomogła mi pewnie moja energia, ale we Francji udało się zaistnieć również Andrzejowi Sewerynowi i Wojtkowi Pszoniakowi. Może to coś znaczy, bo my trzej byliśmy bohaterami „Ziemi obiecanej”.

— Jakie są pana doświadczenia wyniesione z pracy za granicą? Czy praca tam sprzyja rozwojowi aktora, czy tylko pozwala zarabiać prawdziwe pieniądze?

— Praca jest wszędzie pracą, tylko jej rezultaty bywają różne. To zależy od literatury, wagi tematu, od talentu, reżysera... Być może najwięcej nauczyłem się jako aktor jeżdżąc niegdyś po Polsce i grając w rozmaitych warunkach moje programy romantyczne. Wtedy — myślę

Myślę, że i w Polsce zacznie w końcu zmieniać się ten system, który pamiętam jeszcze z czasów mojej młodości. Grałem wówczas Hamleta i chociaż byłem aktorem ogromnie popularnym, którego chętnie oglądała młodzież — zarabiałem znacznie mniej niż ci, którzy nie nie grali, ale mieli wysługę lat. Cieszę się, że w Polsce zaczyna funkcjonować system rynkowości. Z tym jednak wiąże się nie tylko pieniądze, ale i straszna praca, bo gwiazda daje przykład jak potrafi pracować, na próbach w głównej roli nie schodzi ze sceny, nie ma czasu na kawę, papierosa i wszyscy aktorzy podziwiają gwiazdy za tę straszna pracę. Z pojęciem rynkowości wiąże się również pewne kłopoty, niesprawiedliwość...

— W sztuce nie rządzi przecież sprawiedliwość.

— Tak, to prawda. Ale wiąże się z tym także ryzyko popadania w tanią komercję. Chociaż to pojęcie nie musi mieć wyłącznie zabarwień negatywnych. Komercyjny może być również Szekspir czy Mickiewicz.

— Za granicą istnieje pan — jak powiada — w roli gwiazdy, natomiast w Polsce, stał się pan mniej popularny niż dawniej.

— Nie ma to dla mnie wielkiego znaczenia. Poza tym, zawsze jest coś za coś. Nie gram już teraz Kmiciców i Hamletów. Natomiast filmy, w których grałem na Zachodzie, nie były i być może już nie będą w Polsce pokazywane, bo się zestarzały. Gdyby były one znane w Polsce, może zmieniłyby stosunek do mnie polskiej widowni. Zresztą w pewnym wieku człowiek już tak nie goni za rozpoznawalnością na ulicy, więc nawet jestem zdumiony czasem, że jakieś wycieczki szkolne biegają za mną z prośbą o autograf. Z wielką przyjemnością jeszcze raz rozpocznę walkę o publiczność polską w jakimś pięknym filmie czy sztuce teatralnej. Już pomyślałem na to mam. Ale nie chcę walczyć o taką popularność, jaką miałem w latach siedemdziesiątych.

— Mimo światowości potrafił pan zachować proste ludzkie tęsknoty, marzenia...

— Powiedziałbym, że raczej dzięki światowości. Każdy skądś tam pochodzi i nie bywa to bez znaczenia. Mnie ukształtowali Słowacki, Mickiewicz, Sienkiewicz, wielka polska literatura, ale także Drohiczyń, gdzie spędziłem całe dzieciństwo w stronach mojej matki (urodziłem się w Łowiczu tylko dlatego, że tam znaleźli się moi rodzice po Powstaniu Warszawskim). Te moje korzenie — wydaje mi się — wyraźnie widać, mimo że nie mówię już (kiedy chcę, to mówię) pięknym, pięknym językiem kresów. Kiedyś nawet sztukę „Świeczka zgasa” Fredry zagrałem w takim języku, niedawno przypominała ją telewizja.



mnie interesuje, a w ramach tego wyboru mam także propozycje polskie. Mogłbym wymienić szereg filmów, w których odmówiłem udziału, ale nie zrobię tego z zawodowych względów. Natomiast, jeśli ktoś mi proponuje rolę taką jak Makbet, to nawet jeśli jestem już zaangażowany gdzieś za granicą, gdzie są i duże pieniądze i blask sławy, to nie waham się zagrać. I tak będzie dalej, jeśli propozycje będą naprawdę interesujące. Chociaż właściwie ja już tyle się nagrałem, że coraz trudniej mnie na coś namówić.

— Jak to się właściwie stało, że cała Europa jest dla pana? Bo wielu aktorów występuje tylko w środowiskach polonijnych lub gra „do kotleta”.

— Tu muszę zaprotestować. Nie wrzucałbym tak do jednego garnka kolegów aktorów jeżdżących do środowisk polonijnych. Aktor pracuje w swoim języku i bardzo trudno jest przebić się do widowni obcej. Sam, jako człowiek już dorosły, uczyłem się języków (poza francuskim — matka była polonistką w liceum, wykladała tam też francuski i nauczyła mnie wcześniej tego języka), więc wiem, jak trudno jest nauczyć się mówić tak, żeby nie być śmiesznym i skazanym na rolę cudzoziemców. Bardzo trudno jest znaleźć repertuar, jeśli nie mówi się w obcym języku biegle i bez akcentu. Natomiast myślę, że prawem i obowiązkiem polskich aktorów jest bywanie w środowiskach polonijnych z tym, co umieją najlepiej. Oczywiście, bywają kapele, które grywają do kotleta wszędzie, ale to także jest rodzaj wykonywania zawodu, choć nieco innego typu, a tego nie należy tak pomniejszać. A to, że tam zarabiają nieco większe pieniądze — tym lepiej, bo przecież w Polsce są bardzo źle opłacani.

— Wyrozumiałość dla aktorskich chałtur płynie zapewne stąd, że pan zaszedł znacznie wyżej, więc wróćmy jeszcze do pytania: dlaczego panu się udało?

— Zawdzięczam to chyba... energii wewnętrznej. Ktoś obliczył, że tej energii jest u mnie więcej niż u innych, podobno to się mierzy w hercach. Ale poza tym wszystko bierze się z pracy, zawsze bardzo dużo pracowałem. I to jest chyba najbardziej wymierne, bo energię trudno zmierzyć. Tym bardziej charyzmę, o jakiej mówią niektórzy, chociaż ja jej zupełnie nie dostrzegam, przynajmniej patrząc w lustro.

Myślę, że w Polsce jest wielu aktorów, którzy sytuują się na światowym poziomie, ale niestety skazani są na własny język. Mało kto na świecie wie, że u nas jest dwóch zupełnie różnych, wybitnych aktorów starszego pokolenia, którym trudno byłoby znaleźć równych na scenach francuskich, angielskich czy amerykańskich. Nazywają się Łomnicki i Holoubek, ale cóż... grają po polsku. Zasięg ich oddziaływania jest w sferze tego języka. Zdolnych aktorów, którzy mają może więcej herców niż ja, jest wielu. Na pewno niesamowitą ilość energii ma Kryśia Janda, udowadnia to nieustannie w Polsce i za granicą.

— Janda, podobnie jak i pan, zaistniała właściwie za sprawą Andrzeja Wajdy.



DANIEL OLBRYCHSKI: *Staram się wybierać to, co mnie interesuje.* Fot. CAF

— nauczyłem się równie dużo jak wówczas, kiedy grałem czterysta razy „Hamleta” u Hanuszkiewicza, bo musiałem zainteresować widownię, znacznie trudniejszą niż ta w Teatrze Narodowym. A na Zachodzie zderzyłem się nie tylko z zupełnie inną publicznością, ale również z inną organizacją pracy. We Francji główne role obsadzone są z góry wiadomymi aktorami, a reszta to aktorzy z konkursu, bo jest ich masa, bezrobotnych, którzy tylko czekają na okazję. Potem, kiedy się już podpisze kontrakt, przez dwa miesiące trwają próby, ale od godziny dwunastej w południe do godziny dwunastej w nocy, z przerwą na posiłek. To jest szalenie skuteczne, bo nie będzie dobrze grał ten, kto najpierw uczestniczy w próbie cztery godziny, potem gna do następnej pracy w telewizji czy filmie, a wieczorem ma spektakl w teatrze. Być może kształci to technikę udawania, bo oszczędzając siły fizyczne i psychiczne aktor ucieka w tak zwaną technikę, ale nie pogłębia pracy nad rolą i nie to sprzyja jego rozwojowi.

Taka gigantyczna praca możliwa jest tylko w określonych strukturach teatralnych, które są właściwie bardzo brutalne, bo po skończeniu pracy następnego dnia trzeba składać dokumenty do związku zawodowego jako bezrobotny. Aktorzy stają więc na głowie, żeby grać dobrze, a korzystając z faktu, że grają u boku wielkich gwiazd, dać się zauważyć i zaangażować do następnego przedstawienia, czy — daj Boże — filmu. Nie ma tam zazdrości wobec gwiazd. Każdy mniej znany wierzy, że pojawiając się w głośnym przedstawieniu, obok wysoko opłacanych i wysoko notowanych aktorów, także zwróci na siebie uwagę.

— Powiedziałbym, że raczej dzięki światowości. Każdy skądś tam pochodzi i nie bywa to bez znaczenia. Mnie ukształtowali Słowacki, Mickiewicz, Sienkiewicz, wielka polska literatura, ale także Drohiczyń, gdzie spędziłem całe dzieciństwo w stronach mojej matki (urodziłem się w Łowiczu tylko dlatego, że tam znaleźli się moi rodzice po Powstaniu Warszawskim). Te moje korzenie — wydaje mi się — wyraźnie widać, mimo że nie mówię już (kiedy chcę, to mówię) pięknym, śpiewnym językiem kresów. Kiedyś nawet sztukę „Świeczka zgasła” Fredry zagrałem w takim języku, niedawno przypominała ją telewizja.

Drohiczyń, to bardzo ważne, ale na przykład Gerard Depardieu nie miał takiego dzieciństwa — pracował jako beach boy — chłopiec na plaży. Czasami łatwe, piękne dzieciństwo wcale nie pomaga, wręcz odwrotnie. Ja swojemu synowi często o tym mówię. On ma jeszcze łatwiejsze życie niż ja. Od dziecka mówi biegle dwoma językami, poza polskim. Miał nieporównywalnie lepsze warunki materialne i od dzieciństwa paszport w kieszeni, o który jako dorosły człowiek zawsze prosiłem. I ja się boję, że jemu wszystko przychodzi za łatwo, bo tak naprawdę to ważne jest umieć przebić się mimo trudnych warunków.

— Nigdy nie przychodziło panu do głowy, że można utrzymać się zmywając naczynia?

— Zdawałem sobie sprawę, że mogę być zmuszony to robić, bo do Polski nie miałem po co wracać, a zwłaszcza nie chciałem wracać dlatego, że mi się nie udało.

— Po wielkich doświadczeniach aktorskich próbuje pan odnaleźć siebie w innej roli, myślę o książce — wspomnieniach o Włodzimierzu Wysockim...

— Myślę, że im więcej ma się lat, tym mniej interesujących ról pozostaje do zagrania. Młody aktor może grać Hamleta, Kordiana, Konrada, potem ról tak wielkich jest mniej, ale i w ogóle mniej się goni za rolami. Przychodzi czas jakiejś refleksji, chęci podzielenia się doświadczeniem. U mnie ta potrzeba pisania jest może trochę genetyczna, odziedziczona po matce. Ojciec także był publicystą, przed wojną oboje pisywali recenzje teatralne. Brak czasu powodował, że tę potrzebę pisania stale odsuwałem do czasu, kiedy będę może chory albo stary. Ale w końcu zmobilizowano mnie do wypowiedzi o Wysockim. Najpierw telewizja, która nakręciła moje wspomnienia na kasecie wideo, a potem przyszli młodzi ludzie z wydawnictwa „Zebra” i zaproponowali mi kontrakt na napisanie wspomnień. W końcu się przemogłem, ponieważ sam lubię bardzo czytać różne wspomnienia aktorskie, nawet starców...

— Czy pan już zaczął spisywać własne?

— Jeszcze nie, ale może pora już zabierać się do tego, sporo by było...

Rozmawiała
LIDIA WÓJCIK